

## Jan Witkowski

## część I z II

Sygnatura notacji: **N0438**

Data urodzenia: **20.11.1931 r.**

Data nagrania: **22.03.2023 r.**

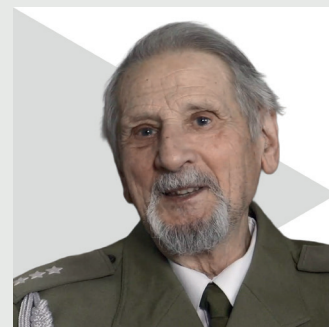
Miejsce nagrania: **Don świadka, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 32 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Jan Witkowski:** Witkowski Jan. Urodziłem się na Pomorzu niedaleko Wąbrzeźna, w miejscowości Zaskocz. Niewielka wioseczka taka była. Tam mieszkaliśmy, ojciec miał gospodarstwo. Tam mieszkaliśmy do ,39 roku. W lecie ,39 roku tata został powołany do wojska. Wyjechał. Ja zostałem z mamą i młodszą moją siostrą na gospodarstwie. Wybuch wojny dla mnie był bardzo tragiczny, bo w sąsiedniej wsi był urząd gminny i mama musiała pojechać tam załatwiać jakieś sprawy. I pojechaliśmy tam. W tym czasie przybył pociąg z granicy pruskiej z uciekinierami. Ten pociąg stanął na stacji kolejowej tam. Przyleciały niemieckie samoloty i zbombardowały ten pociąg. Jak wracaliśmy do domu, musieliśmy przejeżdżać koło stacji kolejowej i widziałem tę makabrę po zbombardowaniu tego pociągu, mnóstwo porozrywanych ciał, mnóstwo krwi. Widok dla mnie był bardzo szokujący. Po tym wypadku mama zdecydowała, że my też będziemy uciekali. Cały dobytek, jaki tam wartościowy był, został zapakowany na furmankę i żeśmy wyruszyli w kierunku centralnej Polski. Do Włocławka, bo we Włocławku był most przez Wisłę, można było się na drugą stronę przedostać. To, co pamiętam z tej ucieczki, że drogi były bardzo zatłoczone, było bardzo dużo uciekinierów. Poza tym w dzień było niebezpiecznie, bo też nadlatywały niemieckie samoloty i bombardowały, i ostrzeliwały tych uciekinierów. Tak że takie przypadki były, że trzeba było w pole uciekać nie raz. Przedostaliśmy się, to było już chyba po drugiej stronie Wisły, zatrzymaliśmy się w gospodarstwie jakiegoś tam gospodarza. Ten gospodarz taki życzliwy, tych uciekinierów kierował, mówi: „Tam na łąkę koło mnie możecie wjechać sobie i odpocząć tam, a dla bezpieczeństwa wykładajcie pierzyny czerwone, że jak samoloty przylecą, to żeby wiedziały, że to wy jesteście uciekinierzy”. Ale nadleciały samoloty i mama chyba mi powiedziała: „Idź do koni, mogą się spłoszyć, to przypilnuj”. Wyszedłem na podwórko i byłem tam przy koniach, ale zobaczyłem, że na podwórku sobie stoi gospodarz z latarką elektryczną i coś tam sygnalizuje tą latarką. Po tym bombardowaniu poszedłem do mamy i mówię: „Mama, on jakieś sygnały Niemcom podawał”. Mama, byli polscy

żołnierze gdzieś, powiedziała tym żołnierzom o tym przypadku i tego gospodarza zabrali stamtąd. Myśmy ruszyli dalej, pojechaliśmy, znaleźliśmy się pod Kutnem. W przeddzień bitwy pod Kutnem znaleźliśmy się pod Kutnem, jeszcze w przeddzień u gospodarza pod Kutnem byliśmy, ale do Kutna żeśmy też podjechali, jakieś tam sprawunki mama robiła, coś tam kupowała. Wróciliśmy do tego gospodarza. I nie wiem, czy to na drugi dzień było, czy jakoś, zaczęła się bitwa pod Kutnem. I myśmy się znaleźli pomiędzy oddziałami polskimi a niemieckimi. I przed tym naszym domem przez calusierki czas tej bitwy przelatywały pociski artyleryjskie. Więc ja też przeżyłem straszny strach w ogóle tam. Bitwa się skończyła, wkroczyli Niemcy, myśmy już dalej nie mieli szans uciekania. Mama postanowiła wrócić, wróciliśmy do Zaskocza. W naszym gospodarstwie już gospodarzył Niemiec. Zabrał nam wszystko i wyrzucił nas. Niemcy nas umieścili, obok tam był majątek i w budynkach tych dla robotników majątkowych umieszczono nas i tam nas trzymano. Ale mojego tatę Niemcy bardzo szukali. Tak że co noc rewizja, co noc szukanie bez przerwy. W końcu gdzieś pod koniec grudnia ktoś mamie powiedział: „Słuchajcie, chcę was wywieźć do Oświęcimia. Uciekajcie stąd”. To dostaliśmy się, nie wiem, czy piechotą, czy jak, do Torunia. A w Toruniu był most wysadzony w powietrze i już Niemcy w międzyczasie wybudowali z Torunia Miasta do Torunia Mokrego taką prowizoryczną kładkę. Tej kładki pilnował, wiadomo, wartownik niemiecki. Mama moja prawdopodobnie przekupiła tego wartownika, zresztą mama moja jest Kujawianką, skończyła w czasie zaboru pruskiego średnią szkołę niemiecką, tak że znała perfektnie język niemiecki, mogła się nim posługiwać. I prawdopodobnie to jej ułatwiło załatwienie sprawy. Przedostaliśmy się na drugą stronę do Torunia Mokrego, to była już Generalna Gubernia. I stamtąd chyba pociągami do Warszawy dojechaliśmy. Była w Warszawie rodzina, bo brat mojego ojca przed wojną mieszkał w Warszawie. Mieszkał na Saskiej Kępie, ale miał sklep tutaj w Śródmieściu na ulicy Sienkiewicza. Bardzo duży, piękny sklep. Nazywał się Strzelecka Składnica Sprzętu Sportowego. Mój stryj był zawodowym oficerem i po przejściu w stan spoczynku ten sklep tam otworzył. Tam zamieszkaliśmy, bo jego mieszkanie, które było na Saskiej Kępie, zabrali Niemcy też. Tam nie mogliśmy mieszkać, mieszkaliśmy na Sienkiewicza pod tym sklepem, w piwnicach. Rodzina, stryj, ojciec starali się o jakieś mieszkanie. I w końcu dostaliśmy na ulicy Siennej mieszkanie, jak zostało zmniejszone getto warszawskie. Jeszcze jak myśmy się wprowadzili, to przez środek ulicy jeszcze stał mur, płot odgradzający getto od części polskiej. Zamieszkaliśmy na ulicy Siennej, to jest tutaj, gdzie obecnie stoi Pałac Kultury, tam było mieszkanie. Ale cały czas tam nie mieszkaliśmy. Prawdopodobnie tata od początku wybuchu wojny należał do ruchu oporu i musiał pełnić jakieś funkcje, bo w 1941 roku kazano nam wyjechać w ogóle z Warszawy. Wyjechaliśmy do Małopolski, do miasteczka Kolbuszowa. Tam w tartaku dostał tata mój pracę. Też prawdopodobnie związana ta praca była z ruchem oporu, bo miał taką funkcję jeżdżenia po lasach, cechowania drzew do wycinki. Tak że prawdopodobnie miał tam jakieś kontakty. Ale tam w Małopolsce też kilkakrotnie się przenosiliśmy z miejsca na miejsce. Z Kolbuszowej przeniesiony został tata, pomiędzy Kolbuszową a Mielec. Tam był niemiecki poligon. Tam testowane były rakiety V1. Na tym poligonie też jakąś tam funkcję pełnił jakiś czas. Znowu stamtąd został przeniesiony, znowu w inne miejsce. W końcu stamtąd wróciliśmy do Warszawy. Chyba w 1943 roku wróciliśmy do Warszawy. Zaczęłem znowu chodzić w Warszawie do szkoły, czwartą, piątą klasę. Piąta klasa to był 1944 rok już. Skończyłem piątą klasę. Jakoś tak było, nie wiem, czy rodzice nie mieli już możliwości jakichś, czy coś takiego, żebym gdzieś na półkolonię czy kolonię pojechał. Byłem cały czas w Warszawie. Na Siennej tam mieszkała duża nasza rodzina, bo stryjostwo mieszkali, babcia mieszkała, dwie siostry mojego ojca i ojciec ze swoją rodziną. Tyle osób tam mieszkało. Duże mieszkanie było. Z tym że ciotki były w okresie letnim gdzieś tam pod Warszawą. Tak że ja i siostra moja zostaliśmy w Warszawie. Jak był wybuch Powstania Warszawskiego, to też była taka trochę zaskakująca rzecz, bo w nocy był alarm lotniczy, później ten alarm lotniczy był rano odwołany. I znowu po południu alarm lotniczy był, gdzie było w ogóle dla nas zaskoczenie, co się dzieje. Bawiłem się wtenczas na podwór-

ku, bo to był taki dom, gdzie w środku było podwórko. Bawiłem się. Jakies tam krzyki, coś było na ulicy, wyskoczyliśmy na ulicę przed bramę, zobaczyliśmy wtenczas powstańców biegnących w kierunku ulicy Marszałkowskiej z opaskami, z bronią. Starsi ludzie już mówili: „O, powstanie się zaczęło”. Ktoś znalazł u siebie w domu chorągiew biało-czerwoną, została wywieszona od razu przed bramą. W krótkim czasie słychać było strzelaninę, bo później się dowiedziałem, że Niemcy się bronili na Pocztę Główną, na byłym placu Napoleona tam. W drugim miejscu koło nas Niemcy byli na Dworcu Głównym w Alejach Jerozolimskich i na ulicy Zielnej w budynku Poczty i Telefonów. Bardzo szybko została zbudowana barykada na Siennej, na Wielkiej i na Złotej. Tam barykady zostały postawione, bo z Telefonów tam z góry, z dachu snajper ostrzeliwał ludzi. I ta barykada przy Zielnej i na Siennej, przy Zielnej była zbudowana w ten sposób, że wchodziło się do niej do środka. Bo był jakiś taki odcinek, miejsce, gdzie ten snajper widział, że się wchodzi do tej barykady. Tam strzelał. Ja miałem też przypadek taki, ja wiedziałem o tym, byłem ostrzeżony, bo zresztą dosyć często przechodziłem przez tę barykadę, bo stryjek w czasie powstania pełnił służbę przy komendzie głównej i był dowódcą batalionu transportowego. W związku z tym do stryja chodziłem po żywność, coś do jedzenia, w związku z tym przez tę barykadę przechodziłem, druga barykada była na ulicy Marszałkowskiej. Z tym że ona była niska, niewysoka. W parku tam przy Królewskiej byli Niemcy i tam było stanowisko karabinu maszynowego niemieckiego. I on tę barykadę ostrzeliwał. Raz kiedyś, jak przechodziłem, to znaczy przechodziłem, czołgałem się, zauważyli i ostrzeliwali mnie, z tym że barykada była na tyle wyższa, że pociski mnie nie sięgały. Ale trochę strachu się przeżywało. Inny strach, który przeżyłem bardzo, był przez Niemców też ostrzelany tymi tak zwanymi krowami, tymi takimi wyrzutniami, bank „Pod Orłami”. I akurat się w tym czasie znalazłem na Sienkiewicza, tam na Sienkiewicza, na rogu Sienkiewicza i Marszałkowskiej był bank. Wejście do tego banku było tak w podziemiach i stały takie kolumny, filary. I jak usłyszałem, że zaczęły te krowy wyć, schowałem się za filar i czekałem, co dalej będzie. Pociski spadły tam, to jest chyba róg Złotej i Śniadeckich ten bank. Tam spadły pociski, tam zaczęło się palić. Tam też widziałem ludzi, którzy chyba się nie zdążyli schować czy źle się schowali, te pociski zapaliły ludzi. Żywe pochodnie biegły ulicą Zgoda, zupełnie nieświadome, gdzie biegną chyba. To ten taki najgorszy chyba z widoków, który w czasie powstania widziałem. Na Siennej tam byłem gdzieś do mniej więcej połowy sierpnia. Z babcią razem mieszkaliśmy. W połowie sierpnia został zniszczony nasz dom. Taki pocisk kolejowy, ten olbrzymi taki, był wystrzelony. I z barykady opowiadali nam, bo widzieli, jak on spadł na środek jezdni. Nie wybuchł, odbił się, wpadł pod ścianę budynku i dopiero się rozerwał. To był sąsiedni budynek, w którym myśmy mieszkali. Budynek cały się zawalił. Nasz budynek, cały front się zawalił. Sąsiedni drugi budynek calusieńki się zawalił. A my, ja z babcią się znalazłem w tym czasie w piwnicy. Nasza piwnica przylegała przy bramie, przy wjeździe na podwórko. I chyba to było szczęśliwe, bo ten strop tej piwnicy musiał być na tyle mocny, że jak się dom zawalił, to sufit się nie zarwał. I myśmy zostali tam zasypani w tej piwnicy, dusiliśmy się. To była straszna też rzecz. To jest olbrzymia ilość pyłu i strasznie dużo po wybuchu tego materiału wybuchowego duszącego takiego gazu. Chyba tam upłynęło, musiało upłynąć ładnych parę godzin, zanim ludzie posłyszeli, że my siedzimy tam, bo żeśmy walili w ściany. Światła nie było, światło w tym pyłe zgasało, karbidówka, nie było jak zapalić, ciemno w ogóle, waliło się w ściany i po prostu odgrzebano nas, odkopali, bo od strony podwórka było wejście do piwnic. I tam chyba tak mocno nie było to zasypane, że jakoś odgrzebali nas. Po tym wydarzeniu całym babcią moją zachorowała i zmarła. Zostałem sam. Po pewnym czasie przyszedł tata, zabrał mnie stamtąd, bo tam nie było, mieszkanie calusieńkie było zniszczone. Chyba kuchnia została i kawałek przedpokoju przed kuchnią, coś takiego. Reszta w gruzy poszła. A mama moja, dziwnym w ogóle trafem, miała swoją przyjaciółkę, która mieszkała na Mokotowie, na Rakowieckiej. One się przyjaźniły jeszcze z czasów, kiedy mieszkaliśmy w Zaskoczcu. Mama moja w Zaskoczcu w majątku pracowała jako księgowa i bardzo się przyjaźniła z siostrą właściciela tego majątku,

z panią Taczanowską. I pojechała właśnie do pani Taczanowskiej, żeby zabrała siostrę, i powstanie ją zastało na Mokotowie. Jak było zawieszenie broni i wychodzenie ludności cywilnej z Warszawy, to mama moja z ludnością cywilną z Warszawy wyszła do Pruszkowa, do tego obozu. Mnie tata zabrał. Jego oddział, który w czasie powstania był, bo do swojego oddziału się nie dostał, dostał się do tego batalionu „Iwo”, który był utworzony już w czasie Powstania Warszawskiego, w pierwszych dniach powstania, do którego wstępowali powstańcy, którzy nie dostali się do swoich jednostek. Między innymi mój tata tam się dostał. Sztab batalionu mieścił się na Marszałkowskiej 74. Tam mnie zaprowadził, tam zostałem też powstańcem. Zostałem przyjęty jako żołnierz, złożyłem tam przysięgę i dostałem przydział do I kompanii 3. plutonu, i zostałem łącznikiem dowódcy plutonu. Przy dowódcy plutonu cały czas do końca powstania pełniłem służbę jako goniec. Wszystkie polecenia, jakie otrzymywałem od niego, wykonywałem. Śródmieście znałem, bo mieszkalem na Śródmieściu. Śródmieście bardzo dobrze znałem. Zresztą nie byłem takim rośłym chłopem, tylko chłopaczkiem takim. Wiadomo, że w czasie powstania nie wszystkimi ulicami można było przechodzić, bo były ulice niebezpieczne, przez gołębiarzy ostrzeliwane i gołębiarze polowali na powstańców. Chodziło się przez piwnice, gdzie były między domami poprzebijane mury. Można było wzdłuż prawie całej ulicy przejść też piwnicami. Pełniąc służbę, wracając z jakimś meldunkiem Marszałkowską, bo odcinek Marszałkowskiej był taki, że można było przejść, wracałem, szedłem w kierunku placu Zbawiciela. Naprzeciwko mnie, w odległości dosyć sporej, 50–70 metrów szedł w mundurze oficerskim powstaniec. I w pewnym momencie, jak przechodziłem koło takiego charakterystycznego domu, posłyszałem strzał. I ten strzał był skierowany właśnie do tego oficera. Ten oficer został chyba ciężko ranny. Wiadomo, że reakcja tych ludzi, którzy tam byli, doskoczyli do tego oficera i zaczęli szukać, skąd ten strzał padł. Ja blisko tego domu byłem bardzo i słyszałem ten strzał. I ludziom mówię, że tutaj był ten strzał. A ten budynek jest charakterystyczny. Na Marszałkowskiej z takiej czerwonej cegły zbudowany jest i na rogu budynku jest wieżyczka. Prawdopodobnie w tej wieżyczce siedział ten gołębiarz i strzelił do tego powstańca. To taka charakterystyczna rzecz, która mi z powstania została. A tak powstanie, na bojowych gdzieś tam posterunkach ja nie pełniłem służby, pełnili ci, którzy byli jako tako uzbrojeni. Z naszego batalionu był utworzony batalion „Ostoja”. Trochę broni się znalazło i oni zostali uzbrojeni. Oni na Nowogrodzkiej i przy Alejach Jerozolimskich mieli swój posterunek, pilnowali, prawdopodobnie pilnowali przejścia przez Aleje Jerozolimskie. Tam taka barykada była wygrzebana do, że tak powiem, sufitu tunelu, bo dalej głębiej nie można już było zrobić tego, a też była ostrzeliwana bardzo ze snajperów z Dworca Głównego, z Alei Jerozolimskich. Powstanie. Brak wody, jak jeszcze na Siennej mieszkaliśmy. Dwa budynki dalej w podwórzu była taka pompa, tak zwana abisynka. Taka ta. Wiadomo, że były niesamowite kolejki po tę wodę. Pompa była eksploatowana tak, że wyeksploatowali ją, że przestała działać. Nie było wody, trzeba było szukać wody. Już tutaj Śródmieście było ostrzeliwane przez te grube berty. Na rogu Zielnej i Złotej był po wybuchu tego pocisku olbrzymi lej, lej głębokości takiej, że jednopiętrowa willa mogła się schować. I tam zaczęła wyciekać woda skądś. Tam ja chodziłem po wodę i ludność chodziła po wodę. Z tego strumyczka czerpaliśmy wodę. Nie wiem, jak już byłem po drugiej stronie Alei Jerozolimskich, nie wiem, skąd była woda brana, skąd przynosili. Chyba tam Sądowa czy jakaś ulica, tak się nazywała, tam była kuchnia, gdzie były gotowane posiłki dla powstańców i dla ludności cywilnej. Chyba i chleb był pieczony nawet, bo też były przydziały chleba. Wiadomo, te porcyjki żywnościowe były małe, człowiek nigdy najedzony nie był, stale głodni byliśmy. Głodni i brudni, to, co pamiętam. Pamiętam, jak było zawieszenie broni. Dla mnie to też było takim zaskoczeniem, co to jest zawieszenie broni. Ale to się okazało, że dowództwo powstańcze i dowództwo niemieckie doszło do jakiegoś porozumienia, żeby wyprowadzić ludność cywilną z Warszawy. Bo ta ludność nie brała udziału w powstaniu, a cierpiała niesamowicie też. Ginęło przecież bardzo dużo ludzi, głód i choroby i tak dalej. W czasie właśnie tego zawieszenia broni tata mi kupił

ubranie, bo ja jak z domu wyszedłem, to ja wyszedłem w letniej koszulce i letnich spodenkach tylko, bo nasz pokój na Siennej był od frontu i całe nasze mieszkanie zniszczone było, tak że nic nie mieliśmy. Kupił dla mnie jakieś tam ubranie, bo to się już zbliżała jesień, coraz bardziej zimno było, noce już były chłodniejsze. Jakieś tam ubranie kupił. Po zawieszeniu broni znów zaczęło się powstanie i już to powstanie krótko dosyć trwało. Nastąpiła kapitulacja powstania. Jak został ten akt kapitulacji podpisany, dowódca batalionu zrobił zbórkę pozostałości tego batalionu. Został odczytany ostatni rozkaz, że idziemy do niewoli. Do niewoli szliśmy tak, jak idzie wojsko. Czwórkami, zdyscyplinowani, wyszliśmy z naszego miejsca zakwaterowania. Szliśmy przez plac Politechniki, chyba na placu Politechniki albo tam dalej, nie wiem dokładnie, w którym miejscu, było złożenie broni. Musieliśmy oddać całą broń Niemcom i pędzono nas szosą do Ożarowa. To, co pamiętam z przejścia do Ożarowa, to szosa po obu stronach, z jednej i z drugiej strony, była obstawiona posterunkami niemieckimi, z karabinami maszynowymi, pełno żołnierzy z automatami, i szliśmy tym szpalerem do Ożarowa. W Ożarowie, w fabryce kabli nas umieszczono. I tam nastąpiła przed wyjazdem do niewoli selekcja, oficerów osobno, kobiety nasze, które brały udział w Powstaniu Warszawskim, osobna grupa, szeregowych i podoficerów jako osobna grupa. Nie pamiętam dokładnie, ile dni tam w Ożarowie byliśmy, ale pewnego dnia zapędzono nas, tam chyba bocznica była kolejowa czy coś, do wagonów, takich bydlęcych wagonów. Wpakowywano nas na ścisk taki, że jak upakowano nas i zamknięto drzwi, to było tak ciasno, że nawet było trudno się poruszyć. Nie mówiąc, żeby usiąść, w ogóle trudno było się poruszyć. Tak nas transportowano do granicy polsko-niemieckiej, do Kostrzyna, ale po stronie niemieckiej już to nazywało się Kistrin. I tam nas wyładowano z kolei, zapędzono nas do łaźni, żebyśmy się umyli. Ubrania nasze do parówki, żeby zniszczyć wszystkie insekty, bo byliśmy zawszawieni niestety. To łaźnia była, woda była bardzo gorąca, to, co pamiętam. Tacy rozparzeni ubraliśmy się w te mokre ubrania i zostaliśmy wypędzeni na dwór. To był prawdopodobnie już 3 czy 4 sierpnia [października], już mróz był. W nocy nas wypędzono z tej łaźni na dwór i tam mieliśmy czekać, jak się wszyscy umyją, na transport. Wiadomo, że byliśmy potwornie i głodni, i zmęczeni. Niektórzy nie mieli siły, żeby się ruszać, a starsze osoby, starsi powstańcy nie pozwalali nam siadać, kazali cały czas chodzić, żeby ruszać się cały czas, ale nie wszyscy się słuchali, nie mieli siły. Jak usiadł i zasnął, to zamarł już, już się nie obudził. Jak nas z powrotem wpakowali do wagonów, to było tak luźno, że można było usiąść na podłodze. Tyle zginęło, tyle zginęło w tak perfidny, podstępny sposób przez Niemców. Wieziono nas dalej. Przez Berlin, przez Hamburg, do północnych Niemiec, niedaleko większego miasta Bremen, a stacja kolejowa nazywała się Bremervörde. Tam nas wyładowano na tej stacji i z tej stacji też na piechotę przeszliśmy kawał drogi, duży kawał drogi do obozu jenieckiego. Obóz jeniecki był zbudowany na takich torfowiskach, łąkach, jakichś takich mokradłach. I był bardzo duży ten obóz. Tam około 10 000 jeńców wojennych było. Byli Rosjanie, byli Polacy z '39 roku, byli Francuzi, Anglicy, ale byli też i Włosi, i Jugosłowianie. Oni mieli swój sektor naprzeciwko naszego sektora, gdzie w takim jeszcze większym rygorze pilnowani niż oni. Oni nie mogli w ogóle do płotu, do drutów podejść, bo była pewna przestrzeń wapnem wybielona, na którą nie wolno było przejść, bo jak wszedł, to wartownik go od razu zastrzelił. Z tych oddziałów zbuntowanych włoskich i jugosłowiańskich. Koło tego naszego sektora były umieszczone też Polki z Powstania Warszawskiego, a za nami byli z kolei Rosjanie. Ja tak jakoś nieszczęśliwie trafiłem, że w baraku, w tych barakach, gdzie były te prycze, już nie było miejsca. I nas tam kilkunastu chyba umieszczono w pomieszczeniu łaźni, takiej normalnej łaźni z natryskami. Tam nam rzucono trochę słomy na ziemię i nasze spanie tam było. Ja byłem szczęśliwy, że z tatą byłem, byliśmy razem w tym batalionie „Iwo”. Ja byłem w tym 3. plutonie. Tata był w innym oddziale zupełnie, ale do niewoli razem z nami poszli i z tatą razem trzymałem się. Razem tam byliśmy w tej łaźni, też spaliśmy tam. Po pewnym czasie Niemcy zaczęli robić selekcję powstańców. Część powstańców gdzieś wysyłali, czy do obozów koncentracyjnych, czy gdzieś, część powstańców na tak zwane komanda.

To były takie ciężkie obozy pracy. Też ja opowiem o tym. A część chłopców takich jak ja byłem, było nas tam też dosyć sporo, którzy pasowali Niemcom fizjonomicznie, rasowo, zabierano ich do rodzin niemieckich na zgermanizowanie. Natomiast ci chłopcy, którzy im się tam nie podobali, szli do obozów pracy. Ja trafiłem na komando do Hamburga, na przedmieściu Hamburga. Niedaleko za naszym obozem było już lotnisko. Dzielnica Groß Borstel Hamburga to była. Tam nas chyba było około 300 w tym obozie. Komendantem obozu był młody pilot, sadysta niesamowity, który był ranny, miał amputowaną nogę, w związku z czym już w wojsku czynnie nie służył, był komendantem obozu i był prawdopodobnie strącony nad Polską. Na nas mścił się w najróżniejszy sposób. Pierwszy sposób nękania nas, jaki był, jak szliśmy do pracy, to myśmy byli w takich grupach po 30 osób. Rano był o godzinie 6 apel i na tym apelu nas liczone na te grupki po 30 osób. Tutaj Niemcy sobie robili z nas zabawę po prostu. Liczyli, mylili się, że albo za dużo, albo za mało. Szczuli psami. Różne takie historie robili. I taką grupkę 30 osób taki niemiecki wartownik, myśmy nazywali to volkssturm, to byli już nieczynni żołnierze, starsi panowie, którzy nas brali tam na miasto do roboty. Na różnych się trafiało, niektórzy byli ludzcy, niektórzy byli wredni. Na miasto też chodziliśmy głodni, bo rano nie otrzymywaliśmy żadnego jedzenia. Międzynarodowy Czerwony Krzyż w pewnym momencie namierzył jakoś nas, powstańców. Po prostu zaopiekował się nami i dostawaliśmy paczki, unrowskie paczki. W tych paczkach były konserwy, kawa, papierosy, herbata. Ale kawa, papierosy, czekolada to była nasza waluta wymienna za kartki żywnościowe. Jak byliśmy na mieście, to próbowaliśmy z ludnością cywilną za te artykuły wymienić się na kartki żywnościowe. Jak się miało kartkę żywnościową, można było urwać się z tej grupy roboczej i stanąć w kolejce do sklepu, żeby dostać kawałek chleba, trochę tej margaryny, trochę jakiegś tam marmolady czy czegoś do tego. Też nie zawsze się udawało, bo jak przechodził policjant niemiecki, żandarm, esesman i zauważył, a myśmy byli charakterystyczni, bo mieliśmy wymalowane dużymi literami białymi na plecach KGF, czyli kriegsgefangen. Czyli wiadomo było, że ten. Jak zobaczył takiego jeńca, wyrzucał po prostu z tej kolejki. Dobrze było, jak jeszcze nie został do tego pobity. Bo najczęściej się zostawało pobitym za to jeszcze i były odbierane kartki. Tak że traciliśmy na tym bardzo mocno. W różne miejsca w Hamburgu chodziliśmy do tej pracy. Chodziło się do magazynów portowych, bo też były te magazyny portowe bombardowane. Wiem, że ci, którzy palili papierosy, a chodzili do magazynów portowych, zdobywali tytoń. Z tym że jak przychodziliśmy z pracy do obozu, to przechodziliśmy osobistą rewizję. Wszystko, co tylko znaleźli przy nas, to było zabierane. Wiadomo, na różne pomysły koledzy wpadali, żeby ominąć rewizję, żeby można było coś przenieść do tego obozu. Jeszcze jak chodziliśmy do portu, do Altony, tam pracowaliśmy na tych nabrzeżach. W tych nabrzeżach były tawerny dla marynarzy. I do tej tawerny jak się weszło, był azyl. Tam ani żandarm, ani policjant niemiecki nie wszedł. Zresztą tam i byli marynarze obcych państw, nie tylko sami Niemcy. Byli różni marynarze, ale jeszcze tam był azyl. I tam było to, że za kartki można było dostać taką dużą szklankę czy kubek duży gorącego bulionu i butkę paryską. To był rarytas. Po pracy z miasta, jak przychodziliśmy, rewizja osobista. Wszystko, co znaleźli, wiadomo, odbierali. Przychodziło się do baraku, trochę się człowiek tam tyle, co mógł, oporządził, obmył i dostawaliśmy miskę zupy. To było nasze całodienne jedzenie obozowe, które Niemcy nam dawali. Jeśli chodzi o pracę na mieście, praca na mieście była ciężka, bo gołymi rękami człowiek ten gruz wynosił. Wiadomo, że się kaleczył, ranił się i ropy, ból, różne rzeczy się działy. Taki charakterystyczny jeden nalot był angielski w dzień, wtenczas nas zapędzono do takiego bunkra. W Hamburgu były takie bunkry, schrony dla ludności cywilnej. To były takie olbrzymie monolity betonowe z bardzo grubych ścian, że tam bomba tego nie ruszała. Kilkupiętrowe, w dół kilka pięter, w górę kilka pięter. W czasie jednego takiego bombardowania były rzucone, tak mówili, płytki fosforowe. Tak że paliło się wszystko naokoło. W tym bunkrze temperatura była strasznie wysoka. Dusiliśmy się wręcz tam. Wiadomo, że w takich ekstremalnych warunkach ludność cywilna też, różne rzeczy się tam działy. Wariowali ludzie, mogą to tak



powiedzieć nawet. Skończył się nalot. Wyszliśmy na ulicę, ulica gorąca niesamowicie. Budynki popalone, wszystko popalone. Nie wiem, chyba już nie pracowaliśmy tego dnia. Wróciliśmy chyba do obozu. A z innej takiej ciekawostki. Byliśmy zapędzeni do dzielnicy takiej, gdzie mieszkali dygnitarze niemieccy. Też było zbombardowane i odgruzowywaliśmy. W pewnym momencie koło mnie przeszła kobieta, a ja już trochę, ponieważ w szkole się uczyłem niemieckiego, trochę tego niemieckiego znałem, przeszła koło mnie kobieta i powiedziała, żebym tam poszedł, bo do kubła takiego na śmieci przy latarni, jak był, że tam jedzenie dla mnie jest. Poszedłem, rzeczywiście, było jedzenie. Dla naszej grupki to było po kęsie dosłownie. Ale było co. Ale taki przypadek, że niecała ludność niemiecka, zwłaszcza w Hamburgu, była taka niedobra dla Polaków. Inny przypadek, który miałem w obozie. Nie wypędzono mnie do roboty na miasto, tylko zabrano mnie do magazynu niemieckiego żywnościowego do zrobienia porządku w tym magazynie. Pilnował mnie wartownik niemiecki, ma się rozumieć. Zapowiedział mi, że jak cokolwiek zjem tam, to zastrzeli mnie. Wierzyłem mu, że to zrobi. Czyściłem tam te kiełbasy, puszki, zrobiłem ten porządek. Powiedziałem mu, że zrobiłem. Przyszedł zobaczyć, zabrał mnie do swojego pokoju. Dał mi jeść. Nakarmił mnie. Nakarmił mnie. Ale największe moje zdziwienie było, jak włączył radio, włączył mi BBC, program polski. I ja odsłuchałem. Dowiedziałem się w końcu od niego, że on jest Ślązakiem. On po polsku mówił, słabo mówił, że jest Ślązakiem, że zebrali go do wojska, zmusili i musi służyć w wojsku. Ale on jest Ślązakiem. Te takie epizody, że tak powiem. Pod koniec kwietnia 1945 roku został obóz zlikwidowany. Zostaliśmy podzieleni na 3 grupy po 100 osób i w różne miejsca poprowadzeni w kierunku północnej granicy niemieckiej. Jedna grupa, z którą kontakt jakiś tam mieliśmy, dowiedzieliśmy się, była na wyspie Sylt. My byliśmy umieszczeni pod miasteczkiem Husum. Trzecia grupa gdzie była poprowadzona, to trudno mi jest powiedzieć, bo się nigdy nie dowiedziałem. Nasza grupa pod tym Husum, jak byliśmy, to był też chyba jakiś obóz jeniecki, nieduży, mały jakiś obóz. Kto nas pilnował, zresztą kto nas konwojował z tego obozu, z Hamburga pod Husum? Paru starszych żołnierzy niemieckich i kilku czy kilkunastu chłopców młodych z Hitlerjugend. Młodzi chłopcy, 16, 17 lat. Byliśmy pędzeni cały czas na piechotę. To było około 170 kilometrów chyba tej naszej drogi. Takim też bardzo charakterystycznym epizodem było, taki młody chłopak Hitlerjugend niósł RKM. To ciepło już było, w kwietniu. Pod tym RKM już się śłaniał, ledwo szedł. Któryś z naszych chłopaków wziął od niego ten RKM i niósł. Tam pod Husum do tego obozu zakwaterowani zostaliśmy, ale na kilka dni przed końcem wojny zostali ci Niemcy rozbrojeni, wpakowani do któregoś tam pokoju w tym baraku i zamknięci. Odebrana została broń, wartownicy polscy, komendant jakiś tam się zrobił, który tam dyrygował nami. I tak doczekaliśmy się wyzwolenia. Wyzwoliło nas wojsko angielskie, do Husum wkroczył Pułk Huzarów Zmotoryzowanych, to się tak nazywało, taka elitarna jednostka w ogóle, była bardzo fajna. Jak się dowiedzieli o nas, od razu zostaliśmy przeniesieni trochę dalej jeszcze, do takiej wioski, która się nazywa Wittbek. Tam były koszary organizacji Todta, tej organizacji takiej paramilitarnej, która tam zajmowała się budownictwem, budowaniem. Kilka baraków bardzo ładnych, czystych, w ogóle kuchnia, w ogóle całe wyposażenie, obok strzelnica. Dowódca ten angielski zrobił z nas kompanię wartowniczą, bo pod Husum został utworzony obóz jeniecki niemiecki. Anglicy tam pilnowali ich i kazali i nam pilnować. Tam chyba z kilka ładnych miesięcy żeśmy byli tą kompanią wartowniczą. Potem następowały w Niemczech reorganizacje tych byłych obozów wojskowych. I zostaliśmy przeniesieni. Tam był już duży obóz wojskowy polski. Już tam kilkaset, ładnych kilkaset żołnierzy było. Nas takiej młodzieży tam też się znalazło, chyba pluton z nas zrobili młodzieżowy. Została utworzona szkoła. I do szkoły. Ja tam szóstą klasę ukończyłem. Ukończyłem różne kursy. Kursy były takie, strażacki, kurs sanitarny, jak należy robić opatrunki i tak dalej, takich nas rzeczy uczono. I między innymi był kurs na kierowców samochodowych. Taki kurs na kierowcę samochodowego ukończyłem, nauczono mnie jeździć motocyklem, samochodem osobowym, samochodem ciężarowym. Nawet nas tam trochę uczono jeździć i czołgiem.